



Krzysztof Cirkot

Wyżej już tylko bogowie

TOM I

Krzysztof Cirkot

Wyżej już tylko
BOGOWIE

© Copyright by Krzysztof Cirkot & e-bookowo 2009

Grafika i projekt okładki: Krzysztof Cirkot

ISBN 978-83-61184-79-9

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo

www.e-bookowo.pl

Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości

bez zgody wydawcy zabronione

Wydanie I 2010

SPIS TREŚCI

Rozdział 1: Spotkanie w górach	5
Rozdział 2: W dół rzeki	7
Rozdział 3: Szlachetna Szajka	17
Rozdział 4: Dalej z prądem	51
Rozdział 5: Nocna Wizyta	55
Rozdział 7: Przebudzenie	71
Rozdział 8: Ostatnie chwile.....	130
Rozdział 9: Niedokończony Połów	134
Rozdział 10: Nieoczekiwana wizyta	141
Rozdział 11: Czas decyzji.....	146

ROZDZIAŁ 1: SPOTKANIE W GÓRACH

Zmierzch zapadał szybko. Kolejne konstelacje gwiazd zapalały się na nieboskłonie jak światełka w oknach jakiegoś olbrzymiego miasta–molocho. Zerwał się wiatr, mocny i lodowaty, przesywający ubranie sztyletami zimna. Tabron Thur siedział ze złożonymi nogami, oparty o zakrwawiony szorstki głaz i grał na swojej krzywej cisowej fujarce smętną pieśń w dolnej oktawie. Delikatne dźwięki nieskomplikowanej melodii zlewały się w jeden hipnotyczny rytm, jakby to nie była muzyka lecz odgłosy natury. Nie poruszał się. Jedynie od czasu do czasu, przy szybszej zmianie akordów, ścięgnięta i mięśnie w jego potężnych ramionach falowały skórą, jak wystraszone ryby taflą wody w stawie. Siedział na martwym czerwonym szakalu, którego przed chwilą udusił gołymi rękami. Między bosymi stopami poniewierały mu się przeżute liście czilungu, umoczone w lepkiej jak maź posoce zwierząt, które zabił tego wieczora.

Brazidas konał. Nie miał już siły przeżuwać twardych jak wyprawiona skóra liści. Kwaskowaty sok czilungu, zmieszany ze śliną, jeszcze spływał cienką strużką przez spuchnięty przelyk do żołądka, ale już nie pomagał. Jad od licznych ukąszeń rozlewał mu się po ciele, niszcząc wszystko na swej drodze. Gorączka nasilała się, rany cuchnęły rozkładem. Wzrok mętniał. Widział kolorowe plamy na peryferiach wizji, całe obszary nieba to czerniały to znów rozbłyskały lunami białego światła. Leżał na swoim płaszczu, a w rękę trzymał skakar, młynek modlitewny pewnego ludu, u którego kiedyś był kapłanem i wodzem, i którego na koniec uwolnił od ich boga. Przedmiot wibrował jeszcze z cicha z grzechotem, który w pełnej mocy doprowadzał zwierzęta do ataków panicznego lęku, nawet samobójczej śmierci, a ludzi niekiedy do oblędu. Nawet teraz, kiedy bestie już uciekły, a wrzask młynka ucichł, jeszcze drżały mu ręce i powieki, a jedną nogę ciągle wyginał bolesny jak wszyscy diabli skurcz.

W pewnej chwili ujrzał coś, jakiś cień przesuwający się po nieboskłonie. Czy to złudzenie?

To złudzenie, powtarzał z jakąś chorobliwą fascynacją, obracając słowo w ustach jakby to miało być ostatnie słowo jakie wypowie. Złudzenie, miraż, oblęd, halucynacja.

Ktoś wylądował obok, stal i drewno stuknęły o kamień. W powietrzu niosło się jeszcze echo głośnych słów. Brazidas skupił wzrok, choć oczy nie chciały już słuchać. Przed nim stała kobieta jak zjawa. Wiatr targał długie, kręcone kasztanowe włosy i próbował ściągnąć jej z ra-

mion gruby płaszcz z kołnierzem podbitym srebrzystym futrem. Trójkątna twarz miała w rysach jakąś melancholię, lecz oczy śmiały się jeszcze, choć ten śmiech, jak echo jakiejś beztroskiej zabawy, gasł szybko gdy tak wpatrywała się w niego. Poczul słodki zapach egzotycznych kwiatów, odległy i wabiący. Ogarnął go nagły smutek, tak ciężki aż westchnął.

– Wesolo wam tam? – zapytał cicho.

Odruchowo spojrzala ponad jego głową na jaśniejący w ciemnościach kolorowymi światłami okien olbrzymi dwór. Stał w oddali, na szczycie wielkiej skały wyglądającej jak spiłowany kiel, wystającej z grzbietu góry której ośnieżony szczyt ginał hen wysoko w ciemnościach.

– Ja ciebie znam – stwierdziła pochyliwszy się nad nim, aż końcówki włosów musnęły mu twarz. Miły zapach stęzał. Spojrzał jej w oczy, które badały każdy zakamarek jego twarzy z jakąś dziecinną ciekawością. To było jak właściwy klucz w zamku. Wspomnienia wróciły.

– Pamiętasz? – zapytała ledwie słyszalnie i po momentalnym wahaniu dotknęła palcami jego warg.

– Tak – odparł i uśmiechnął się kącikami ust.

ROZDZIAŁ 2: W DÓŁ RZEKI

Rzeka uspokoiła się. Nie widać już było przed nimi żadnych progów, bystrzy ani szypotów. Nigdzie nie czaił się podwodny głaz, gotowy rozszczepić ich mizerny stateczek na pojedyncze kłody. Tylko tu i ówdzie nagły wir zakręcił ciemnozieloną wodą aż zbulgotały bąbelki powietrza. Rzeka rozlewała się tu leniwie w korycie dużo szerszym niż tam w górze, ponad przeszkodami, które z wielkim szczęściem zdołali pokonać. Śladem delikatnych kumulusów, leniwie wędrujących po niebie, po powierzchni wody przesuwaly się plamy światła i cienia. Na zachodnim brzegu rósł gęsty tropikalny las, który piał się po zboczu wysokiej góry z idealnie równym trójkątnym szczytem, na którym coś stało. Co to było niepodobna było stwierdzić, ale na pewno było to wielkie i zbudowane przez człowieka. Na bliższym, wschodnim brzegu mijali właśnie fragmę ciągnącą się od rzeki w górę po stoku falistego wzgórze na jego szczyt: był to pas niskiego, porośniętego szarozielonymi listkami nożokrzewu, którego poskręcane konary sięgały ziemi. Orest pamiętał jeden taki krzew, rósł w lesie niedaleko jego rodzinnego domu. Pewnego razu wlaźła tam owca. Próbowali ją wyciągnąć z ojcem. Zablokowała się, szarpnęli. Wyciągnęli tylko dwie skrwawione nogi.

Na brzegu poniżej zabójczej przeszkody grupka półnagich tubylców z wrzaskiem biegła po wielkiej, pocętkowanej pokurczonymi ciernistymi drzewami łące. Wyglądało to na jakąś grę, bo jedni gonili drugich i przewracali ich podcinając im nogi dla zabawy. Już spostrzegli tratwę, ustawiali w koziołkach i figlach. Pokazywali ich sobie rękami, machali nimi jakby oganiali się od natrętnych owadów i wykrzykiwali coś głośno. Głos niósł się po wodzie, lecz zniekształcał słowa w jeden bulgoczący belkot.

– Prymitywna dzicz – stwierdził Jorgi Mull z pogardą, biorąc się pod boki. – Pewnie myśleli, że ta ich łąka to cały świat i poza nią nie ma już nic. Trzymają się za te swoje puste łby i biegają jak jakieś głupie małpy. Patrzcie, machają nam jak na pożegnanie i pokazują w dół rzeki. Co za ciemnota.

– Może nie lubią gości? – zastanowił się Orest wykręcając wodę z koszuli. – I pokazują nam, że mamy się wynosić?

Jorgi splunął do wody.

– Pewnie boją się, że wszystkie ich kobiety na nasz widok rzuciłyby się nam na szyję, a ich zostawiłyby w diabły. I słusznie się boją. W życiu nie widziałem takich pokrak. Kurduple z płaskimi głowami.

Pozostała dwójka pasażerów tratwy nie zdążyła skomentować, bo z tyłu usłyszeli wrzaski. Obejrzel się i zastygli z wrażenia.

Kilka pni ze zniszczonych tratw splaywało właśnie z góry stukając o kamienie i z impetem zanurzało się w spokojnej, głębokiej toni. Trzech wojowników Zachodniego Brzegu, uczepionych jednego z pni, właśnie zanurkowało wraz z nim w odmętach. Woda naokoło natychmiast zakotłowała się mocniej niż w innych miejscach, gdzie szybki nurt zderzał się ze spokojną powierzchnią.

Początkowo widzieli tylko wielkie grzbiety pokryte ciemnozieloną łuską i potężne górne pletwy. Potem pień powoli wyprostował się i ułożył na wodzie, a uczepieni go kurczowo ludzie zniknęli. Woda wokół wrzała nadal. Dostali gęszej skórki na myśl o tym, co działo się tam, w głębinie. Było jasne, że coś bardzo niedobrego.

Po chwili przekonali się na własne oczy.

Olbrzymia ryba o długim szczupaczym pysku wyprysnęła z wody, trzymając w nim jakiś kształt, bezwładną masę trzepoczącą dwoma bladymi kikutami. Z tyłu i po bokach w uciekinię uderzyły inne olbrzymy, walcząc o zdobycz. Zanim drapieźnik zanurkował z powrotem, trzepnął łbem z bólu. Ofiara wysliznęła się rybie z pyska i poleciała w stronę tratwy. Leciała łukiem. Ale Bran, stojący najbliżej krawędzi, wyliczonym szybkim ruchem złapał przelatujący obok niego kształt i łagodnym lecz stanowczym szarpnięciem, balansując na piętach, zmienił tor lotu pocisku tak, że ten zamiast w wodzie wylądował na drugim końcu tratwy, w chaotycznym stosie korpusu i kończyn.

Wszyscy trzej spojrzeli po sobie, zaskoczeni tym wyczynem.

– Pięknie to zrobiliś – rzekł Orest z podziwem.

– To nic. Nie takie rzeczy się robiło.

– To ci się tylko udało – skomentował kwaśno Mull.

W miejscu, gdzie według wszelkich praw przyrody i fizyki miał wylądować pocisk, pojawili się tymczasem sprawcy zamieszania. Ryby rozejrzały się na wszystkie strony zdziwione i, najwidoczniej przekonane, że zwariowały, odplynęły by stoczyć walkę o pozostałą zdobycz.

Tymczasem dalej w stronę zachodniego brzegu rzeki pojawiła się następna tratwa, która przetrwała morderczy splyw. Dwóch ocalałych z pogromu rozbitków widząc, że są uratowani, zaczęło tańczyć jak szaleni po pokładzie. Wtem zorientowali się, że nie byli sami. Widząc nieprzyjacielskie barwy Wschodniego Brzegu zaczęli wygrażać im pięściami i wyrzaskiwać obelgi. Jeden wyciągnął procę zza pazuchy i amunicję z woreczka przy pasie, po czym wziął zamach. Kamień z gwizdem przeleciał tuż ponad głowami przeciwników.

– O żesz wy – warknął Jorgi. – Mało wam jeszcze tej zaszranej wojny?

– Niektórzy nigdy nie zmądrzeją – pokręcił głową Ale.

Ostatnim jego słowom towarzyszył delikatny i drżący muzyczny akord.

– A już miałem nadzieję, że ją zgubiłeś – jęknął Mull. – Znowu będzie rzępolił i gadał od rzeczy jak chory. Żebyś chociaż umiał grać!

– Zamiast cieszyć się tą chwilą – rzekł Orest powoli, ledwo słyszalnie wśród ciężkiego szumu i plusku wody, wyzywająco patrząc mu w oczy i wtórując sobie delikatnie na mokrej formidze. – *pamplim*. Tą chwilą daną od bogów, która nigdy nie wróci. *pamplim*. Szansą na nowe życie. *pamplim*. Na zapomnienie o przeszłości. *pamplim*. Oni wracają niezmiennie w schemat starego myślenia. *pamplim*. Jakby byli zwierzętami posługującymi się wyłącznie instynktami. *pamplim*. Przekazanymi im przez poprzednie pokolenie. *pamplim*. Pokolenie takich jak oni. *pamplim*. Niezdolni do odmiany ścieżki, którą kroczą. *pamplim*.

Nie zabrzmiało to najgorzej. Czasami tak niewiele trzeba by choć na chwilę znaleźć się w innym, lepszym świecie. Jorgi już nie narzekał, spojrzenie miał zamglone. Bran spojrział na grajka przeciągle. Delikatny skurcz, jak szept, przebiegł mu po twarzy. Uśmiechnął się lekko.

– Ile razy mam ci powtarzać, że bogów nie ma? Odeszli gdzieś, zostawili nas tu samych sobie.

Orest wzruszył ramionami i grał dalej, powoli i delikatnie, niepokojąc duszę.

– Czasami potrafisz mnie zadziwić – kontynuował tamten. – Zwykle bredzisz od rzeczy, ale czasami, rzadko bo rzadko, nagle powiesz coś takiego, że aż poruszysz wnętrznościami.

Forminga szeptała dalej.

Kolejny kamień z jękiem wciął się w wodę tuż przed tratwą. Jorgi oprzytomniał, wyciągnął zza pasa wielki kamienny młot z zaokrąglonym obuchem i wywijając nim ponad głowę zaczął skakać i odwrzaskiwać się tamtym. Chowając instrument Orest wraz z Ale usiedli z westchnieniem.

Procarz skoncentrował ogień na ich kompanie. Jeden pocisk rąbnął w tratwę i zrykoszetał pionowo w górę. Następny trzasnął go w pozszywany z warstw garbowanej skóry stożkowy hełm, zdzierając mu go zupełnie z głowy.

Nagle Mull zamarł, a i napastnicy ucichli zupełnie i zaprzestali ostrzału.

– No, co tam? – zapytał Ale. – Mocno ci przyłożył?

– Eee – odpowiedział zapytany. Patrzył szeroko otwartymi oczami w dół, w głębinę, gdzie trzy pary wielkich czarnych oczu wpatrywało się w niego w skupieniu. Nie zważał na strumyczek krwi spływający mu z czoła na nos i stamtąd kapiący na mokry pokład.

Kap, kap.

Usłyszeli mokry szelest za sobą. Poturbowany przez ryby ziomek tamtych dwóch doszedł do siebie. Patrzył na nich jeszcze niezupełnie przytomnie, ale w drżącej, uniesionej pod dziwnym kątem dłoni już trzymał mokry nóż.

– Poddajcie się – wychrypiał. – Dość tej zabawy.

– Nie wyglupiaj się – skrzywił się Ale. – Przecież ledwo żyjesz.

– Płyńcie do tej tratwy – tamten niewzruszenie wskazał głową. – A potem zwiążcie się sami, z łaski swojej. Nie czuję się za dobrze.

– Czym mamy wiosłować? – zapytał uprzejmie Orest. – Wiosła i ster połamały się i pogubiły, tak samo jak u twoich kamratów. Może tobą?

– Nie pyskuj! – ryknął nowoprzybyły. – Mógłbym być twoim ojcem, szczyłu.

Istotnie, sumiaste wąsy pod długim mięsistym nosem miał już przyprószone siwizną. Chciał się poruszyć, wstać. Zdolał unieść się nieco na lokciu, syknął z bólu i przysiadł z powrotem ze zdziwionym wyrazem twarzy.

– Rybki przycisnęły ci trochę nogę – poinformował go Jorgi rozsmarowując sobie krew na nosie mokrym rękawem kaftana.

– Pewnie trzeba będzie odciąć – dorzucił Orest. – Zanim zlecą się muchy.

Napastnik z paniką zaczął gorączkowo obracać głową na wszystkie strony, dokonując przeglądu swego pulsującego coraz mocniejszym bólem ciała. Jego wzrok szybko natrafił na kilka potężnych, pokrytych łuską kształtów, które z niecierpliwością przebierały płetwami w oczekiwaniu na posiłek. Zmierzyły go krytycznym wzrokiem.